Świat powieściowy.

Nr. 117 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Po latach dwudziestu.

Oskarzony. — To fałsz! To wszystko kłamstwo!

Przewodniczący. — Proszę nie przerywać świadkowi. Ta kobieta była przez całe życie wzorem poświęcenia i uczciwości. Niema w tem żadnego interesu, aby prawdę zataić. Znane są zresztą jej uczucia religijne, jej nabożeństwo, do przesady niemal posunięte, wie przecież, co znaczy przysięga w obec Boga wykonana, i nie chciałaby tak ciężkim grzechem obciążać sumienia.

Oskarzony. — A jednak ta kobieta skłamała!... (zwraca się do świadczącej:) Genowefo! dlaczego ty kłamiesz?... Gdym wszedł do domu, miałem w rękach moją dubeltówkę. Dowiedziawszy się, że Marietta zasłabła nagle, rzuciłem się do jej łóżka przerażony. Rąk nie myłem, o lesie w Gièvre ani wspomniałem... wszystko kłamiesz... lub niepamiętasz dobrze... Proszę cię, zbierz myśli!... Powiedz, żem ci pomagał pielęgnować chorą Mariettę, żem ją tak czule kochał!..

Świadcząca wpatruje się przenikliwie w Jakóba buremi oczami przez chwilę, odzywa się wreszcie głucho, zwrócona do przewodniczącego:

— Przysięgam powtórnie, żem prawdę szczerą powiedziała!

Przewodniczący zachęca ją, aby dalej mówiła:

— Pielęgnowałam Mariettę przez trzy tygodnie. Przynosiłam jej to mleka, to rosołu z pałacu; zajmowałam się również jej dzieciątkiem; starałam się być o ile możności pożyteczną, bo przecież ksiądz proboszcz nakazuje nam w imieniu Boga, abyśmy bliźniego kochali, ratowali i pomagali mu wedle sił naszych. Często w malignę wpadała i plotła bez sensu.

Przewodniczący. — Czyś niektóre z jej słów zapamiętała?

— Wspominała często imię hr. Mortrée (senzacja w sali). Szeptała coś do siebie, drżąc na całem ciele, jakby się obawiała swojego męża. Ot tak, naprzykład: „Strzeż się, strzeż! Wie wszystko!... pozabija nas!...“ Przytem jęczała i krzyczała przeraźliwie, że aż serce się krajało!

— Czy rewizja sądowa odbywała się w domu w twojej obecności?

— Tak panie... ale chora nic o tem nie wiedziała... zanadto majaczyła.

— Jak wyglądał podczas rewizji oskarzony?

— Był w wielkim strachu. Aż dzwonił zębami.

— Opowiedz szczegółowo przebieg choroby i śmierć Marietty.

— Oto tak było. Wstawała już po trochu, kazała sadzać się w słońcu przed domem, jadła coś niecoś i pieściła czasem swoją maleńką. Tylko nieraz ot tak się wstrząsła (świadek pokazuje) jakgdyby miała przed kim lub przed czemś stracha wielkiego.

— Jakże była z mężem?

— Unikała jego wzroku, milczała zawzięcie, gdy ją o co pytał.

Oskarzony potrząsa żywo głową, przecząc tym zeznaniom. Świadek mówi dalej:

— O rewizji nic wcale nie wiedziała, i o tem, że jej męża posądzają o zabicie hrabiego. Wprawdzie kumoszki nader ciekawe zaglądały jedna po drugiej, rade czegoś się dowiedzieć i coś wypaplać, ale nie dopuszczałam żadnej do Marietty z tych plotkarek. Bałam się, że mi umrze w rękach, jakby jej nagle całą prawdę powiedziano. I tak można było poznać z jej miny, iż domyśla się czegoś niedobrego, choć nie wie o rewizji. Wreszcie jednego wieczora, zaczęła skarzyć się na wielkie boleści w żołądku. Nic prawie dnia tego nie jadła, tylko pod wieczór piła czekoladę.

— Tyś ją przyrządzała?

— Tak panie.

— Torquenié był w domu?

— Był.. chodził z kąta w kąt... ciągle snuł się koło mnie.

— Czy on jej podał czekoladę?

— Nie. Piła z moich rąk. Tylko pamiętam, że gdy na chwilkę odeszłam od kuchni, zastałam garnuszek z czekoladą przykryty. Powiedziałam nawet do Jakóba: „Na coś kładł pokrywę? mogło wszystko z garnka wykipieć.“

Przewodniczący zwraca się do sędziów.

— Panowie pojmujecie ważność tych zeznań. Oskarzony zbliżył się do garnka, w którym gotowano posiłek dla żony... umarła zaś następnej nocy. Torquenié, przypominasz sobie tę okoliczność? Dlaczego garnek przykryłeś?

Oskarzony. — To, co ta kobieta naplotła, kłam-

stwem jest od początku do końca!

Chowa głowę w dłonie, z miną człowieka znużonego i zrozpaczonego.

Przewodniczący. — Niech świadek kończy zeznania.

— Około dziesiątej w nocy bole się zwiększyły. Chora rwała na sobie koszulę, szarpała na łóżku prześcieradło, jakby jej nagle u rąk pazury wyrosły; jęczała i ryczała prawie z bolu. Musiano słyszeć ten ryk daleko. Torquenié drzwi i okna pozamykał.

— Jakże się zachowywał podczas agonji Marietty?

— Wydawał się bardzo zmięszany.. Biegał jak warjat... rzucił się wreszcie przed łóżkiem na kolana, wołając w niebogłosy: „Przebacz mi, przebacz Marietto!“

Przewodniczący do oskarzonego: — Czy przyznajesz się pan do tych słów?

Oskarzony ociera oczy łzami zalane:

— Być może, panie prezydencie. Byłem niesprawiedliwym względem mojej biednej, drogiej żony. Męczyłem ją, wyrzucając częste wizyty hrabiego. Widząc że kona, cóż dziwnego, że uczułem się winnym i chciałem ją za każde słówko przykre przebłagać.

Na wezwanie przewodniczącego świadek mówi dalej:

-- Od chwili do chwili ból się zwiększał. Była jak szalona! W życiu nie zdarzyło mi się widzieć coś podobnego! Podskakiwała na łóżku, jak gdyby połknęła żelazo rozpalone.

Przewodniczący do oskarzonego: — Dlaczego widząc żonę tak cierpiącą, nie posłałeś pan po lekarza?

— Właśnie, żem to uczynił. Przypomnij sobie Genowefo, czyż cię nie prosiłem, żebyś pobiegła do miasteczka, po doktora Barthélemy? Wkrótce wróciłaś, mówiąc, żeś poleciła sprowadzenie lekarza jakiemuś przechodzącemu wieśniakowi, ponieważ w takiej chwili, nie może żadne z nas chorej opuszczać.

Świadek z naciskiem: — Wcale sobie tego nie przypominam!

Przew. — O której godzinie chora skonała?

— Przed dwunastą. Przynajmniej długo się nie męczyła! Zadano jej porcję podwójną...

— Czy mąż okazał żal jaki?

— Tak... płakał.

— Dobrze... może świadek odejść.

Jeszcze kilku świadków bez znaczenia przesłuchują; pojawia się wreszcie hrabia de Trameillan, zimny, sztywny, niedostępny, i raczy również świadczyć, iż wprawdzie Jakób Torquenié był z natury popędliwy, lecz uczciwości nieposzlakowanej, i nader gorliwy w pełnieniu służbowych obowiązków.

Wniosek pana prokuratora brzmi treściwie i energicznie.

Zaczyna od skreślenia obrazu lat młodocianych oskarzonego:

Okazywał on pojęcie bystre i wielką chęć do nauk, w czem mu dopomógł szlachetnie nieboszczyk ojciec hr. Trameillan, pozwoliwszy synowi leśniczego dzielić nauki, z jednym z synów własnych hrabiego. Trudnym był jednak do prowadzenia, będąc usposobienia trochę dzikiego i niesfornego. Myśl i chęci wspaniałomyślne hrabiego, mogły okazać się w skutkach niebezpiecznemi.

— Nie zawsze — mówi dalej pan prokurator — rodzi zdrowe owoce wykształcenie wyższe, udzielane komuś z niższych warstw społeczeństwa. Zamiast podnieść go moralnie, rozwija w jego duszy niedojrzałej do podobnych dobrodziejstw, instynkta i pożądliwości, grożące później zakłóceniem odwiecznych praw i porządku społecznego; budzi się w tej duszy zazdrość i zawiść. W górze nauka oświeca, w dole wtrąca częstokroć w ciemnicę dzikiej nienawiści dla klas wyższych i niejako uprzywilejowanych.

Po tej introdukcji następuje wywód faktów prawny. Spełnienie zbrodni podwójnej przez oskarzonego, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Nie mówiąc o własnych zeznaniach, które niestety oskarzony przed sądem odwołał, przez co zmusza tenże sąd do większej surowości, są przeciw niemu dowody tak jasne, jak blask słońca w południe. Zebrawszy w całość świadków opowiadania, prokurator kładzie nacisk szczególny na zeznanie Genowefy Tinnet „tego wzoru prawości, poświęcenia, tej sługi najuczciwszej najzacniejszego z panów.“ Pierwszą zbrodnię spełniono z rozmysłem, boć od dawna Jakób odgrażał się, iż zgładzi hrabiego de Mortrée. Otrucie Marietty było nieszczęsnem następstwem tego zabójstwa; leśniczy mścił się na żonie, za zniewagę mu uczynioną, sprzątając jednocześnie świadka niewygodnego.

Przyznaje, iż są okoliczności łagodzące i zmniejszające winę oskarzonego. Doznał krwawej obelgi, oszukała go kobieta, którą niegdyś czule ukochał. Jakkolwiek są wstrętnemi te dwie zbrodnie, trzeba się litować nad nieszczęsnym szaleńcem!

Społeczeństwo, nie zażąda też od niego ścisłego rachunku z krwi wylanej, nie będzie wymagało życia za życie. Okaże się wspaniałomyślnem, oszczędzając tę głowę, która powinnaby spaść pod mieczem sprawiedliwości; bezkarnie jednak, nie może mu ujść to podwójne morderstwo; prokurator wnosi zatem, aby skazać zbrodniarza na „galery dożywotnie.“

Przewodniczący. — Pan Rousseau ma głos w obronie oskarzonego.

Poruszenie ogólne w tłumie słuchających. Wiadomo powszechnie, iż młody obrońca, to świetna gwiazda na horyzoncie adwokackim w Rennes; talent pierwszorzędny, pełen ognia i zapału, a całe jego zachowanie podczas rozpraw wstępnych, obiecuje obronę gwałtową. Ma być najmocniej przekonany o niewinności swojego klienta, dla którego chce wywalczyć uwolnienie zupełne.

Skoro mu głos oddano, zrywa się szybko, i tonem donośnym a trochę uszczypliwym, zbija punkt po punkcie, wywody prokuratora.

Nie myśli naruszać teorji pana prokuratora, które raczył rozwinąć, co do niebezpieczeństwa wykształcenia wyższego dla ludu. Według niego, kwestja ta, do sprawy bynajmniej nie należy. Gdyby Torquenié

był został nieukiem, pan prokurator nie omieszkałby twierdzić, iż właśnie brak oświaty, brak wyobrażeń elementarnych o powinnościach człowieka, zaprowadziły go przed kratki sądowe. Dowiedzie tylko, iż jego klient nie miał nigdy usposobienia dzikiego, ponurego, które mu gwałtem chcą narzucić. Odczytuje na dowód listy nauczyciela wspólnego, w których z całą bezparcjalnością zacnego człowieka, wychwala ucznia mu powierzonego nie tylko z pilności w naukach, ale z łagodności i powolności wzorowej.

Ci, którzy Jakóba pomawiają o brak serca, są to leśni złodzieje, bądź drzewo wyrębujący, bądź kradnący zwierzynę. Dla tych istotnie Jakób był zawsze nieubłaganym, jak we wszystkiem, co się służby jego tyczyło.

— Ten człowiek ma być bez serca! — mówił dalej młody adwokat, coraz się więcej zapalając. — Dlaczegoż nie mogę przed wami panowie odsłonić obrazu jego miłości dla Marietty, w którą, acz krótko trwała, wlał najlepszą część duszy swojej! Dlaczegoż nie mogę odczytać wam listów, które pisywał jeszcze do narzeczonej! Poznalibyście w nich dopiero to serce złote, które śmią oskarżać przed wami, o zbrodnię tak ohydną!

Czas również, aby ustała plotka potworna, przeistaczająca usposobienie Marietty, ciche, przywiązane do ogniska domowego, plotka, która śmie rzucać na jej pamięć hańbiące podejrzenia. Wznosząc głos w obronie zmarłej panowie, jestem tylko posłuszny woli mojego klienta. Jeżeli go widzicie smutnym i znękanym na tej ławie nieszczęsnej, do której przykuło go jakieś *fatum* złowrogie, jeżeli twarz jego łzami zalana, a pierś łkaniem się podnosi, nie myślcie, iż to są oznaki rozpaczy i słabości niegodnej mężczyzny, że to strach nikczemny przed losem, który czeka na niego! Jakób Torquenié, dla siebie niczego się nię lęka!

Gdym mu zaofiarował się z moją obroną — bo nie on mnię, ale ja panowie prosiłem oskarzonego o ten dowód zaufania — odmówił mi zrazu. „Nie walcz pan daremnie!“ — machnął ręką na wszystko zrezygnowany. — „Widzę, że jestem naprzód potępiony. Mam jakiegoś wroga ciężkiego a potężnego, który uwziął się, aby mię zgubić... i zgubił bez ratunku!...“

Po chwili jednak inaczej się namyślił:

— Przyjmuję panie! przyjmuję! — żywo zawołał. — Będziesz mówił przed sędziami. Ale nie o mnie, nie! Zostaw mnie pan na pastwę losu, a mów im, błagam usilnie!... tylko o Mariecie! Powiedz, że wszystko, co na nią wymyślano, jest podłem, haniebnem oszczerstwem, że ona mnie kochała, żem ja czcił ją jak bóstwo! że jeżeli dziś patrzę tak obojętnie, choćby na rusztowanie, na którem spadnie może moja głowa, to dla tego, że mi życie bez niej obmierzło, że wraz z nią, całe szczęście moje w grób złożyłem!“ — W chwili, gdym teraz wstawał, te były słowa mojego klienta, które mi szepnął do ucha: — „Broń Marietty, broń, zaklinam pana!“

Tak jest, będę bronił oboje! Panowie! Raczcie na chwilę przenieść się myślą gdzieindziej, wyrzućcie z pamięci to wszystko, co wam w tej sprawie o uszy się obiło. Chciejcie iść za mną, o kilka mil ztąd, w okolicę roskoszną, gdzie łąki bogaciej przetkane kwiatami niż gdzie indziej, gdzie szemrzą miłośnie srebrne strumyki, gdzie widnokrąg zamykają pagórki, okryte lasami szumiącemi tajemniczo, gdzie tak wesoło, tak zielono, a wśród tej zieloności, sterczą na lewo wieżyczki zamku d'Albray, na prawo zaś rysuje się na tle nieba biały pałac z dachem czerwonym w Marnes. Na stoku jednego z pagórków, w cieniu rozłożystego klona, siedzi dwoje młodych, dwoje dzieci nieledwie, tak zajętych rozmową, tak w siebie nawzajem zapatrzonych, iż godziny mkną dla nich niepostrzeżenie, że wreszcie słońce, pożegnawszy ich ostatnim promykiem, zaszło zupełnie.

— Już noc zapada! — zrywa się pierwsza młoda dziewczyna, jakby nagle ze snu zbudzona. — Niestety, musimy się rozłączyć!...

Ostatnim uściskiem serdecznym tuli ją do łona... wyrywa się wreszcie z jego objęć i ucieka jak spłoszona sarneczka.

Oparty o drzewo, aby nie upaść pod szczęścia nadmiarem, stoi młodzian, i odprowadza najukochańszą okiem płomiennem, uśmiechem szczęścia i całusami od ust w powietrze rzucanemi. Gdy mu z oczu zniknęła, otwiera rękę, w której na odchodnem uczuł bilecik wciśnięty. Odczytuje z uniesieniem słowa następujące:

„Mój jedyny i najukochańszy!“

„Widzę Cię smutnym i przybitym, a gdy jestem z Tobą, tak mi tchu brakuje, tak serce bije gwałtownie, iż słowa na ustach zamierają. Dla tego postanowiłam napisać to, co czuję. Nie lękaj się niczego najdroższy! Bóg nad nami! On czyta w sercach naszych, On miłość szczerą pobłogosławi. Rodzice Twoi nie chcą mnie, dla tego, żem uboga. Powiedziano im zresztą, iż lubię stroje, żem lekkomyślna i zalotna. Nie wiedzą, że z Tobą miłyby był dla mnie suchy chleba kawałek, ubrałabym się chętnie w łachmany żebraczki, jeżelibym inaczej nie mogła zostać żoną Twoją. Jedno Twoje słówko, tak słodkie i szczere, więcej u mnie znaczy, niż skarby świata całego! Z czasem i Twoi rodzice przekonają się, iż serce tak jak moje przywiązane, coś warte, i zechcą mię przyjąć za synowę. Bądź mi tylko tak wierny, jak ja Tobie mój jedyny, a nadzieja szczęsnej przyszłości nas nie zawiedzie!“

„Twoja na wieki! Marietta“

— Mógłbym wam panowie dziesięć listów takich odczytać, świadczących o czułości i wylaniu tego dziecka tak lubego w swojej naiwnej prostocie. Zrozumielibyście, iż raz stanąwszy u celu wszelkich pragnień, nie mogła tak rychło sprzeniewierzyć się sama sobie. I taką kobietę przedstawiają wam, jako bezczelną kokietkę, oszukującą męża, dla kogo? Dla człowieka, którego w życiu zaledwie kilka razy widziała! Słuchaliście świadków nieprzychylnych, zawistnych, czemuż nie pytacie tych, którzy patrzyli na dwuletnie pożycie Jakóba

z żoną, na ich czułość wzajemną, na słodkie pieszczoty, na starania tak ojca jak i matki około ich niemowlątka? Ci byliby wam powiedzieli, jak święta zgoda pod tym dachem cichym panowała, jak ich twarze szczęściem promieniały!

Tu odczytuje p. Rousseau list hrabiny de Trameillan, siostry mlecznej Marietty, w którym rozwodzi się hrabina nad tejże cnotami, mówiąc: „Iż nie mogła być na świecie istota lepsza, łagodniejsza, zdolniejsza do wszelkich poświęceń najwznioślejszych!“ — Kończy zaś temi słowy: „Śmierć przedwczesna Marietty, jest dla mnie ciosem nad siły!“

— I w tem myli się akt oskarzenia, jakoby rodzice Torquenié sprzeciwiali się syna ożenieniu, przez wzgląd na złą reputację Marietty. Wstrzymywało ich jedynie ubóstwo tejże, a skoro ofiara wspaniałomyślna hrabiny de Trameillan, wyznaczając posag siostrze mlecznej, usunęła tę przeszkodę, najchętniej przystali na taką synowę, pokochawszy ją serdecznie.

Dotyka wreszcie faktu głównego, częstych odwidzin hr. de Mortrée na leśniczówce, po owem skaleczeniu i wypadku w lesie na granicy.

— Nigdy mój klient — mówi dalej — nie zranił żony niecnem posądzeniem, nigdy nie zwątpił o jej cnocie, ale jako doświadczeńszy, bał się złych języków, lękał się plotek babskich. Wszak i najczystsze wody zwierciadło, może zmącić kał napływający zkądinnąd. Dla tego widziano go może znękanym, dla tego prosił żonę, żeby o ile możności hrabiego nieprzyjmowała, na co Marietta odpowiadała mu z całą swobodą niewinności: „iż dla głupich plotek, nie zamknie przecież drzwi przed nosem hrabiemu, jeżeli ten wstąpi na chwilę, aby się u nich ograzć lub posilić.“ Zwykle sprzeczki takie kończyły się pocałunkiem.

— A jednak mimo zgody i miłości ich wzajemnej, mimo, iż w myśli mu nie postało żonę posądzać o niewierność, Jakób czuł w powietrzu krzyżujące się pociski niecnych oszczerstw. Kto te wieści fałszywe rozsiewał, kto miał w tem interes, to dotąd osłonięte tajemnicą. Że złośliwi w lot je chwytali, dalej a dalej kolportując z radością, o tem wiemy aż nadto dobrze! Cóż kiedy trafia na grunt urodzajniejszy, co buja i krzewi się raźniej, niż podłe, nikczemne oszczerstwo? Dla tego był smutny, ponury, dla tego wymknęło mu się wówczas rozpaczliwe: »Twego hrabiego chciałbym widzieć tutaj!« (pod ziemią), dla tego płakał przed żoną, mówiąc: »Iż gdyby widział jej i swoją cześć naruszoną, gotów by co złego zrobić!« — Stosował jednak te słowa li do siebie, jakże by mógł mścić się tak okropnie na panu de Mortrée, skoro go o nic złego nie posądzał, jakże by mógł struć żonę, która była jedynem szczęściem jego? Być może, iż dla zatarcia śladów zamordowano hrabiego kulą z karabinka Jakóba, być może, iż temu samemu mordercy chodziło o usunięcie z drogi na zawsze Marietty, ale nim nie był z pewnością Jakób Torquenié! Nie do mnie należy panowie szukać właściwego mordercy, ale obowiązek mi nakazuje dotknąć jeszcze jednej kwestji palącej, zlekka już przezemnie poruszonej podczas rozpraw, a którą muszę dokładnie rezebrać, mimo hałasu i oburzenia, jaki słowa moje niezawodnie wywołają.

— Nikt panowie nie ceni wyżej odemnie sądownictwa i jego przedstawicieli. Jednak, jak wszystko co ludzkie, i ta instytucja może mieć ciemne strony, może być wadliwą. Błędem najgłówniejszym jest częstokroć przekonanie powzięte z góry przez sędziego, iż obwiniony musi być winnym istotnie. Skoro zobaczy nieszczęśliwego przed sobą na ławie, pomiędzy dwoma żandarmami, staje się niemal jego wrogiem!

Przewodniczący: — Panie Rousseau nie mogę pozwolić na podobne wyrażenia! Utrzymujesz pan, iż szanujesz sądownictwo, a sędziów spotwarzasz! Proszę zejść na inne pole w swojej obronie.

Rousseau: — A ja ponownie panie prezydencie powiadam wszem wobec, iż wolność słowa i wolność rozumowania na jakiem bądź polu, nie może być obostrzoną przez niczyje widzimisię, gdy idzie obrońcy o sprawę tak ważną, jak życie i honor człowieka. Przerywam więc obronę, i wnoszę obżałowanie, że mi dokończyć wywodu nie dozwolono.

Przewodniczący po krótkiem porozumieniu z sędziami:

— Proszę kończyć panie Rousseau, sąd jest wyższy nad podobne napady i obelgi.

— Nikogo nie napadam ani spotwarzam, nie podsuwam żadnych niecnych oskarzeń, tylko prawdę konstatuję, prawdę płynącą z toku procesu, bijącą w oczy jako fakt nader pouczający. Zaczynam więc na nowo, naprzód zapowiadając, że z toru raz wytkniętego nie zejdę i bez względu na nikogo pójdę wprost do celu.

Do was szczególniej, sędziowie przysięgli, zwracam słowa moje. Skoro staje przed wami oskarzony, słuchacie świadków, oskarzyciela rządowego, i obrońcy obżałowanego. Następnie macie sądzić wedle głosu sumienia waszego. Skoro jednak wam powiedzą, że ten nieszczęśliwy przyznał się sam do wszystkiego, potępiacie go z góry bez litości, bez zastanowienia, bez skrupułów najmniejszych. Nie pytacie jakie sceny mogły poprzedzać rozwiązanie ostateczne dramatu, który macie przed oczyma. Nie wiecie co zaszło między chwilą uwięzienia a owym dniem, kiedy obżałowany siedzi przed wami na ławie pomiędzy żandarmami.

Panowie! Jesteśmy w połowie listopada, a w połowie maja wtrącono do więzienia nieszczęśliwego. Pół roku więc przesiedział li w śledztwie, przed wytoczeniem procesu! Nadmieniłem już o zbytniej surowości sędziego, któremu sprawę tę powierzono. Usłyszałem „iż to była z jego strony chwalebna gorliwość.“ Nie wymieniam nazwiska panowie, ale takiej gorliwości z ogólno ludzkiego stanowiska, nie mogę nazwać inaczej, jak srogością bez granic i znęcaniem się nad nieszczęśliwym!

Streszczam ponownie com już raz powiedział. Klient mój był męczony na różne sposoby. Głodem go mo-

rzono, snu pozbawiano, świadkom nawet podsuwano co i jak mówić z nim mają, a wszystko miało cel jedyny: złamać jego energję i zmusić do wyznań dobrowolnych. „Wprzódy — zapowiedział mu sędzia z góry — proces się nie rozpocznie, póki sprawa nie zostanie należycie wyświecona," czyli mówiąc innemi słowy: póki złamany i znękany, nie podda się woli żelaznej sędziego.

Cztery miesiące walczył wytrwale, cztery miesiące bronił nie tyle własnej niewinności, ile stawał w obronie spotwarzonej pamięci Marietty. Nie ma jednak sił tak duszy jak i ciała, któreby się wreszcie nie wyczerpały. Cierpiący fizycznie i moralnie, znękany i zdenerwowany, Jakób Torquenié uległ, a chcąc za jaką bądź cenę skończyć raz długie swoje męczeństwo, sam zażądał, aby go przed sędziego zaprowadzono, bezmyślnie odpowiedział „tak" na wszelkie zadane mu pytania i oto panowie, jakim sposobem przyznał się do wszystkiego!"

Ta część obrony nie zostaje wprawdzie bez wrażenia w licznie zebranem audytorjum, tak się jednak wydają wszystkim przesadzone oskarzenia, wystosowane przeciw jednemu z sędziów śledczych, najbieglejszemu i prawości nieposzlakowanej, iż wywołują ogólnie uśmiech niedowierzania, nawet u kolegów adwokata. Starsi i doświadczeńsi, potrząsają miłosiernie głowami, mrucząc z cicha:

— Zwyczajnie młody! szaleniec! wyburzy się to z wiekiem, ochłódzi, i nie będzie się później tak rwał »z motyką na słońce.«

Pan Rousseau kończy zaklinając przysięgłych, aby klienta jego uznali niewinnym.

Przewodniczący przedstawia réasumée z wszystkich posiedzeń treściwie i berparcjalnie. Jeszcze raz protestuje energicznie przeciw niecnym insynuacjom pana Rousseau, podającym w posądzenie nieskazitelność sędziego śledczego. „Dość smutno, że obrona musiała zejść na pole tak nikczemnej... denuncjacji! Śledztwo wlokło się długo, bo sprawa była nader zawikłana. Dzięki znanej spreżystości sędziego, wszystko się w końcu wyjaśniło, a dziwić się trzeba i ubolewać, że halucynacje, wylęgłe w osłabionym umyśle zbrodniarza, pan obrońca wygłasza jako prawdę ewangeliczną, z wysokości trybuny. Sąd nie może podzielić zdania pana obrońcy i musi badać i pytać w tej sprawie własnego sumienia."

Sąd idzie na ustęp. Po godzinie tajemnej narady, wracają do sali Przysięgli, z wyrokiem potwierdzającym oba spełnione morderstwa, lecz nieco złagodzonym przez towarzyszące zbrodni okoliczności.

Skutkiem tego Jakób Torquenié zostaje skazany na lat dwadzieścia na galery.

Torquenié wysłuchawszy wyroku, pada zemdlony. Wynoszą go z sali żandarmi.

Pan Rousseau wychodząc woła na głos cały:

— Panowie! potępiliście niewinnego!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy).

XXIV.

A teraz, dla dokładniejszego wyjaśnienia rzeczy zaszłych, powróćmy do Paryża.

Tydzień upłynął od czasu, gdy p. de Villenave spotkał w lasku Corinnę Destremont i piękną Paulinę Régis i zamówił się tym paniom na wieczór. Wiemy co zaszło i co nazajutrz młoda aktorka powiedziała p. de Maugeville. Ale szlachetny postępek Pauliny nie mógł podobać się Corinnie.

Corinna robiła interesa na serjo. Pogardzała Leonem de Villenave, ale on kupił jej spólnictwo wekslem na sto tysięcy franków.

Otóż raz rzecz rozpocząwszy, chciała ją doprowadzić do końca, a żeby weksel był zapłaconym, p. de Villenave musiał poślubić baronowę de Planche Mibray.

Paulina rozumiała to i dlatego zaraz nazajutrz wyjechała z Paryża. Właśnie teraz nie występowała w teatrze, nie miała nawet prób żadnych, była więc wolną. Zresztą robiła to może i dla innych powodów, może chciała zapomnieć o Manuelu de Maugeville, a wyjeżdżając uwalniała się także od tłumaczeń przed Corinną Destremont.

Paulina miała koleżankę, która, jak to mówią, nie miała szczęścia.

Wyszedłszy z Konserwatorjum, nie mogła się ustalić w Paryżu i grywała co chwila gdzie indziej. Ta koleżanka i przyjaciółka bawiła w Havre.

— Dobra sposobność mi się trafia — pomyślała sobie Paulina — obaczę morze i odwidzę zarazem kochaną moją Estellę.

Paulina odjechała więc tego samego wieczora, zostawiając tylko adres swojej pokojowej, do której miała wielkie zaufanie, z tym napisem:

— Pani jest na wsi.

Te pojedyncze słowa, które dla ludzi zwykłych nie mają żadnego znaczenia, dla kobiet pewnego świata znaczą zupełnie co innego.

„Pani jest na wsi!" Słowa te nic nie mówią i mówią wszystko. To znaczy, że kochanek czuły, bogaty i zazdrośny, uwiózł swoje szczęście daleko w podróż.

Nikt nie wiedział, że miała Paryż opuścić, a jednak pojechała. Gdzie? Nie starajcie się wiedzieć. Powiedziano wam „Ona jest na wsi", to jest jak gdyby wam powiedziano: „Spodziewa się, że wiedzieć nie będziecie".

Gdy dwa dni upłynęło, a Corinna nie miała wiadomości ani o panu de Villenave, ani o pięknej aktorce, mówiła do siebie niespokojna:

— A gdyby mnie przypadkowo oszukiwano?

I poszła do Pauliny. Pokojowa miała odpowiedź gotową.

— Jakto? — rzekła Corinna — już są razem?

Pokojowa ani słówkiem nie zdradziła.

— A więc pojechała?

— Tak pani.

— Z nim?

— Nie wiem.

Corinna była przebiegłą. Wiedziała, że darmo trudno się coś dowiedzieć.

Wsunęła pięć luidorów w rękę subretki. Ta włożywszy luidory do kieszeni, odrzekła:

— Pani odjechała przedwczoraj wieczór sama w dorożce, po którą ja chodziłam.

— I gdzie ją zawiózł dorożkarz?

— Nie wiem.

— Słuchaj mała — rzekła Corinna — jeżeli twoja pani cię odprawi, możesz przyjść do mnie, wezmę cię. Mów przeto otwarcie.

— Pani bardzo łaskawa dla mnie, lecz ja już nic nie wiem.

I Corinna odeszła zła, że nic się nie dowiedziała, a jako kobieta oszczędna, żałowała pięć luidorów.

— Kiedy ona pojechała — mówiła sama do siebie wsiadając do powozu — to pewnie z nim razem. Ta mała zręczniejsza jak myślałam. Zresztą Leon musi coś wiedzieć.

I zawołała do stangreta:

— Na ulicę de Helder.

Jak już wiemy, p. de Villenave nie było w domu. Ale lokaj jego nie był tak dyskretny jak pokojowa Pauliny. Corinna znała go od dawna i wiedziała, że chcąc się coś od niego dowiedzieć, wystarczało mu wsunąć w rękę dwa luidory. Za dwa luidory Baptysta wyśpiewał wszystko.

I tak Corinna dowiedziała się, że pan de Villenave otrzymał list od Manuela de Maugeville, że odźwierny pani de Planche-Mibray przyszedł powiedzieć mu o odjeździe swej pani do Burgundji w towarzystwie Manuela. Że pan de Villenave był szalenie zły i chciał odjechać tego samego wieczora, ale potem został, ubrał się i zostawiając walizę podróżną, poszedł na bal Opery. Odtąd Babtysta nie widział go, ale ponieważ zwykle podsłuchiwał pod drzwiami i słyszał całą rozmowę Munita z panem de Villenave, opowiedział ją szeroko Corinnie.

I Corinna dowiedziała się w dziesięciu minutach to, co p. de Planche-Mibray ukrywał całe życie, to jest pochodzenie z cyganów baronowej.

Ale gdzież był p. de Villenave? Bilet, który mu wyznaczał rendez-vous na balu Opery, a który Baptysta pokazał Corinnie, nie mówił jej nic zgoła.

Gdzie była Paulina? Druga tajemnica. Zagadka tembardziej zawikłana, że p. de Villenave pokłócił się z Maugeville'm i że ten pojechał z baronową do Burgundji, a Paulina znów gdzieś pojechała sama.

— A moje sto tysięcy franków? — szepnęła Corinna. — O! nie daruję! muszę je mieć!

. . . .

Pomimo, że Corinna Destremont przeszukała cały Paryż wzdłuż i wszerz, i udała się nawet do ajencji policji prywatnej, która ma wielką klientelę między temi paniami, policja — o której nie długo mówić będziemy — nie dowiedziała się nic także.

Paulina zniknęła i pana de Villenave odszukać nie było można. Wyglądało na to, jak gdyby pojechali razem.

Po pięciu dniach poszukiwania, Corinna nie wiedziała nic jeszcze. Nareszcie i tydzień upłynął, a Pauliny nie było.

Ale pewnego dnia, przechodząc koło teatru, w którym w ostatnich czasach występowała Paulina, Corinna zdumiona spostrzegła afisz z tym napisem:

„Jutro w sobotę, Księżniczka de Valserange i t. d.

Powrót panny Pauliny."

— A więc ona w Paryżu! — zawołała Corinna.

I czekała cierpliwie do jutra.

Depesza telegraficzna dyrektora zawezwała Paulinę Régis z Havre, gdzie miała zabawić miesiąc. Miano powtórzyć sztukę, którą dawano z wielkiem powodzeniem roku zeszłego, a w której Paulina grała główną rolę. Paulina powróciła.

Nazajutrz wieczór po przedstawieniu, Paulina owinięta w ciepłe futerko, spieszyła by wsiąść do powozu, gdy ukryta w przedsionku Corinna chwyciła ją nagle za rękę. Paulina obróciła się zdziwiona.

— A! to ty! — rzekła trochę wzruszona.

— Powinnaś się była mnie spodziewać — odrzekła Corinna głosem cierpkim. — Z kąd wracasz?

— Widzisz przecie — odpowiedziała naiwnie Paulina. — Występowałam dzisiaj.

— Ale wczoraj...

— Wczoraj powróciłam z podróży. — I dodała śmiejąc się: — Jeździłam się leczyć. Byłam trochę słabą.

— Na serce?

— Może.

— Chodź do mnie na kolację. Opowiesz mi wszystko.

— Nie — odrzekła Paulina — nie, nie dziś. Jechałam nocą i jestem zmęczona. Ale jutro... — I jak gdyby coś nagle postanowiła, dodała: — Przyjdź do mnie na śniadanie. Opowiem ci wszystko.

Wsiadła do powozu, pożegnała Corinnę ręką i odjechała.

Corinna była cierpliwą. Czekała do jutra mówiąc sobie:

— Jeżeli sobie ze mnie zadrwiono, zapłacą mi!

Punkt o dziesiątej była u Pauliny. Młoda aktorka, jakeśmy widzieli, była uczciwą i szczerą.

— Droga moja — rzekła do Corinny — wyznam ci otwarcie prawdę, oszukałam cię.

— Oszukałaś?

— Tak, nie chciałam być wspólniczką twoją i tego niecnego Leona.

— A więc — rzekła Corinna zimno — cóżeś zrobiła?

— O! bardzo po prostu.

— No, ale przecie?

— Wszystko powiedziałam Manuelowi, gdy przyszedł do mnie nazajutrz, po portret zmarłej kochanki.

— I uwierzył ci na słowo?

— Nie na słowo, ale na bilet.

— Co przez to rozumiesz?

— Zostawiłaś w moich rękach bilet Leona, a ja pokazałam go Manuelowi.

I Paulina czekała obojętnie. Corinnie oczy zabłysły z gniewu, ale wstrzymała się.

— Nie dobrą jesteś — odrzekła tylko — sądziłam, żeś moją przyjaciółką.

— Nie chciałam należeć do tego podłego spisku. I dziś jeszcze uczyniłabym to samo.

— Dobrze — mówiła Corinna zapanowawszy zupełnie nad sobą — więc nie mogę liczyć na ciebie?

— Nie, a nawet... — Paulina niedokończyła i spuściła oczy.

— A nawet? — nalegała Corinna.

— Powiem ci, że biorę Manuela w opiekę.

— Doprawdy! — rzekła Corinna z ironią.

— Jeżeli ty i Leon staracie się mu szkodzić, ja postaram się przeciwnie dopomódz! — odpowiedziała Paulina stanowczo.

— Jak ci się podoba — odrzekła zimno Corinna. — To nam nie przeszkodzi żyć dalej w przyjaźni.

Ale Paulina wiedziała już czego się trzymać. Corinnie mimo wysileń oczy błyszczały z gniewu i nienawiści.

— Tymczasem — ozwała się Paulina — chodźmy na śniadanie. — I otworzyła drzwi gabinetu, które prowadziły do sali jadalnej. Okna z tego pokoju wychodziły na ulicę, a ponieważ Paulina mieszkała na trzeciem piętrze, okna te były vis-á-vis mieszkania Dolores. Otóż zaledwie Corinna weszła do sali jadalnej, krzyknęła ze zdziwienia.

Okno jedno w mieszkaniu Dolores było otwarte, a w oknie tem stał p. de Villenave, którego Corinna daremnie szukała od tygodnia.

Zbliżyła się od okna i wyjrzała. P. de Villenave patrzył na nią, ale zdawał się nie poznawać. Zawołała go, nie odpowiedział.

— Ależ on wygląda na warjata! — zawołała Paulina.

— Na warjata lub idjotę przynajmniej! — powtórzyła Corinna drżąc.

W istocie p. de Villenave patrzył okiem szklannem na dwie młode kobiety, będące w oknie. Opium cyganki działało i dokonywało dzieła najzupełniejszego upojenia!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WDOWIEŃSTWO ALINY.

(Dokończenie.)

XIX.

Późnym wieczorem Gaston de Senonnés uporządkował papiery, podarł i spalił to, czego nie chciał zostawić po za sobą, następnie zasiadł do listów. Najdłużej pisał do matki. Wyrażał w liście skruchę prawdziwą, iż był dla niej wiecznie i zawsze powodem troski i zgryzot, skarżąc się przed nią na życie złamane, zmarnowane, z czułością i wylaniem dziecka bezsilnego. W jakimkolwiek wieku zaskoczy nas chwila ciężka i stanowcza, a mamy jeszcze matkę, stajemy się w obec niej dziećmi, i radzibyśmy nieledwie, żeby nas wzięła jak niegdyś, na ręce i na łonie swojem ból srogi ukołysała. Po raz pierwszy w życiu Gaston ośmielił się do takiej szczerości w obec matki, bo też po raz pierwszy, nic się już pomiędzy nich nie wciskało, ani niesprawiedliwość, ani przesądy i nieporozumienia, ani dziecinne, przesadzone wymagania, Z myśli jego bujającej już w sferach wyższych, starsza hrabina de Senonnes znikła zupełnie, a został tylko obraz matki, upiększony wszelkiemi doskonałościami, które zwykły iść w parze z tym tytułem. Wyobraził sobie tę matkę, której nie miał więcej zobaczyć, płaczącą po nim łzami krwawemi, płaczącą, jak tylko matka potrafi, gdy los nieubłagany zmienia prawo natury i każe jej patrzyć na śmierć dziecka, które jej by powinno było oczy zamknąć, które bądź co bądź kochała nad życie! nad wszystko! choć nie umiała to dziecię zrozumieć, nie umiała dobrze wychować, nie potrafiła odwrócić od złego, i dać mu szczęście, gdy był czas po temu!

W liście drugim żegnał się z Blanką. Wlał w to pożegnanie ostatnie, ile mógł, uznania, czułości i wdzięczności, wszystko jednak zamknął w kilku wierszach, bo z nią nie mógł być szczerym, jeżeli nie chciał stać się okrutnym.

Zostawił sobie na koniec roskosz z bolem pomięszaną, wyspowiadania się przed żoną z uczuć, z któremi mógł się zdradzić wtedy dopiero, gdy go już nie będzie na tym świecie, aby dowiedzieć się, czy tym razem będzie dla niego wybaczliwszą.

„Zostaniesz wolna nareszcie“ — pisał jej.— „Oszczędzi ci się raz na zawsze przykrość widzenia mojej osoby, od której dziś rano odwróciłaś się z takim wstrętem niepokonanym. Jedyne to zadośćuczynienie, jakie ci dać mogę i będziesz je miała, przysięgam! Czy w zamian raczysz mi choć teraz przebaczyć? Zrób więcej. Przeczytaj cierpliwie aż do końca, spowiedź serca, które wtedy bić już przestanie, pozwól sobie powiedzieć, że umieram, aby zmazać winy popełnione, które niczem innem nie dały się odpokutować, że ginę jednak z tem przekonaniem, iż życie z tobą byłoby roskoszą niewysłowioną, szczęściem nadziemskiem. Od dawna śnię o tem szczęściu, pogrążony w mękach piekielnych, jak potępieniec, gdy przed nim zatrzasną na

wieki bramy niebios. Wyznanie to, które nie byłabyś ani mogła, ani chciała wysłuchać, gdybym za życia był na tyle zuchwałym, aby z niem stanąć przed tobą, nie obrazi cię, skoro przyjdzie od umarłego. W obliczu śmierci nikt nie kłamie, będziesz więc zmuszona uwierzyć słowom moim.“

Złożył list nie odczytany, okrył go pocałunkami ognistemi, namiętnemi, gorączkowemi i wsunął w kopertę gotową, z adresem: „Hrabina de Senonnés, Rzym, hotel ***.“ Listy umieścił na środku biurka, tak, że musiały każdemu wpaść w oko, i rzucił się na łóżko, z ową ulgą, której doznajemy, spełniwszy zadanie, przez sumienie nakazane... Odczuwał nawet coś więcej, radość wielką, głęboką, prawie roskoszną, iż umiera. Zdawało mu się, że płynie ku jakiejś cichej ostoi, że dąży nareszcie do celu upragnionego. Czemże było istotnie jego życie? Jednym ciągiem pomyłek, porywów bezsilnych, niepotrzebnych, pragnień wzniosłych, które atoli rozbijały się o brak woli, o słabość jego; poświęceń źle umieszczonych, chęci najlepszych, najszlachetniejszych, które jednak nieszczęsnym zbiegiem wypadków, wyradzały się w czyny szalone, a nawet występne. Wszystko to przechodził myślą, i znajdował słodycz niewypowiedzianą, iż skończy raz tę walkę nużącą, z której wychodził zawsze zwyciężonym.

— Co do niej — powtarzał sobie z rozrzewnieniem — jest jeszcze tak młodą! Zacznie żyć na nowo, zapomni... i przynajmniej nie przeklnie mojej pamięci... Tego tylko chciałem!

Czego pragnął najgoręcej, to żeby księciu się w ręce nie dostała.

— Rozdzieleni na zawsze! — szeptało jedyne uczucie ziemskie, jakie w nim pozostało. — Krwią moją zbryzgany, wstręt tylko w niej wzbudzić może.

— Jeszczem zazdrośny! — westchnął z boleśnym uśmiechem — a teraz odpoczniesz na wieki, moje biedne serce strudzone.

Usnął z temi słowami na ustach, pożyczonemi od poety, którego studjował, tłumaczył, wcielał się niejako, aby cierpieć z nim razem. Spał twardo i spokojnie, a jednak zbudził się nagle, gdy w pokoju przyległym, zegar trzecią wydzwonił. Coś niepojętego, czuwa w nas podczas snu nawet i wymierza czas spoczynku, gdy oczekujemy na jakiś wypadek nadzwyczajny. Służący niepotrzebował pukać do drzwi, jak to miał nakazane; ubrał się starannie bez jego pomocy, i wyszedł na palcach, cichuteńko, aby zejść się w miejscu umówionem, z sekundantami, którzy czekali na niego z powozem. Pojedynek miał się odbyć daleko od miasta, na drodze do Ponte Mollo, w winnicy, pustej zupełnie w tej chwili, a należącej do przyjaciela Kossakowa, który był sekundantem księcia. Gaston nakazał woźnicy, aby jechał przez Corso. Przejeżdżając po pod okna Aliny, ze spuszczonemi żaluzjami, posłał śpiącej z głębi duszy nieme pożegnanie. Gdy powóz mijał Porta del Popolo, słońce wypłynęło właśnie na strop niebieski, złocąc swemi promieniami mgły lekkie, które zawisły, niby welon gazowy, nad sąsiedniemi ogrodami. Wszystko w około do życia się budziło, drzewa i kwiaty w rosie rannej skąpane, wydawały wonie cudowne, upajające; gdzieniegdzie otwierały się już na przedmieściach Osterje, i przeciągali z trzodą kóz nieliczni *ciocari* w kapeluszach filcowych i sandałach, z nogami płótnem poobwijanemi, z guńką do góry kożuchem obróconą i zarzuconą przez ramię. Nikt nie zwracał uwagi na *break*, który wracał nazad, zrzuciwszy trzech panów pod bramą kamienną, okrytą pleśnią i wielce zdezelowaną. Zastali już na miejscu księcia z dwoma sekundantami i z nieodzownym w takich razach chirurgiem.

— Przyznajcie panowie — wtrącił Kossakow, gdy wszelkie preliminarja ukończono, a przeciwnicy stali na boku, każdy w swojej stronie, jak się to zwykle praktykuje — przyznajcie — powtórzył, zwracając się do świadków Gastona — iż miejsce nie mogło być lepiej wybrane,aby nic zapastnikom nie przeszkodziło w krwawej zabawce.

Wistocie, było tu cicho i głucho jak na pustyni. Mur wysoki, i rząd podwójny dębów wysokich, chronił przed okiem ciekawem, oprócz gwaru ptasząt i brzęczenia pszczół w krzakach rozmarynu, nic się więcej w około nie słyszało.

Szpada była bronią wybraną. Wymieniono ukłony, zwyczajem uświęcone. Zapastnicy stanęli pod murem, na trawie połyskującej rosą, niby djamentami. Gaston był spokojny i uśmiechnięty, książe przeciwnie rozdrażniony i chmurny. Gdy już mieli skrzyżować morderce żelaza, Druckoj zażądał impetycznie, łamiąc wszelkie przyjęte zasady, żeby mógł pomówić z Gastonem na osobności. Henrion, który przedtem usiłował pogodzić przeciwników, co każdy sumienny sekundant ma sobie za świętą powinność, choć wie naprzód, że wszelkie perswazje będą nadaremne, otóż Henrion zdumiał się, myśląc, iż doprawdy słowa jego poskutkowały.

— Panie hrabio — przemówił książe uroczyście, skoro znaleźli się sami i nikt ich z tamtąd nie mógł usłyszeć — zaczynam od zapewnienia, iż nic w świecie nie przeszkodzi nam bić się, honor nakazuje mi jednak wyznać przed pojedynkiem, że nie otrzymałem od pani de Sénonnes najlżejszej zachęty, ani jednego dowodu przychylności.

I tym razem, rycerskość budząca się od czasu do czasu, w tym człowieku dziwacznym i kapryśnym, nakazywała mu poświęcić zemstę nikczemną i nie wystawiać na posądzenia niezasłużone tej, która go zraniła do żywego, która pogardziła i odepchnęła miłość jego.

— A teraz panowie — zdążył szybko na miejsce, nie czekając odpowiedzi Gastona — jesteśmy gotowi!

Wygładziło mu się czoło, dotąd ponuro zmarszczone i złożył się żwawo, prawie wesoło. Książe był szermierzem doskonałym; Gaston nie miał wprawdzie tak wielkiej wprawy, bił się jednak na szpady bardzo dobrze. Zrazu szła walka z równą zapalczywością i zręcznością z jednej jak z drugiej strony, wkrótce atoli

zdawało się, jakby ramię Gastona osłabło; zwolniał w rypostach, źle się zasłaniał, czem tak ułatwiał grę przeciwnikowi, iż ten zatrzymał się i zawołał niecierpliwie:

— Cóż u djabła! Broń-że się pan przecie!

Złożyli się na nowo. Tym razem Gaston nacierał ostro, nie ustępując ani na pół kroku, jakby chciał odjąć chęć przeciwnikowi oszczędzania go w czemkolwiek. Gdy uważał, że książe roznamiętniony walką dostatecznie, odsłonił się nagle rypostą od dołu tak haniebnie, że gdyby Druckoj nie był instynktowo na bok się trochę usunął, ostrze szpady byłoby Gastonowi przeszło przez samo serce.

— Chciał tego!... chciał się przebić! — krzyknął Druckoj zrozpaczony, widząc że pada. — Czy zginął? — spytał głosem drżącym z trwogi.

Chirurg który pospieszył podnieść trupa, (o ile się zdawało) potrząsł głową w sposób dający bez słów do zrozumienia:

— Nie wiele warta ta iskierka życia, która tli w nim jeszcze!

Po opatrzeniu natychmiastowem rannego, na tem samem miejscu gdzie upadł, chirurg z pomocą obecnych przeniósł go z wszelką ostrożnością do powozu Kossakowa, który czekał pod murem z drugiej strony, Druckoj zaś wyszedł stroną przeciwną i kazał wieźć się prosto na kolej.

Pakunki księcia już tam na niego czekały. Odjechał zatem pierwszym pociągiem na północ dążącym.

W godzinę później weszła do Aliny pokojowa, gdy ona po nocy bezsennej, zdenerwowana i rozgorączkowana, z trudnością głowę od poduszki podniósłszy, dopiero myślała o wstawaniu, donosząc, iż jakaś pani pragnie widzieć się z nią natychmiast, że nazwiska nie chciała wymienić, nalega jednak bardzo, aby być przyjętą, przychodzi bowiem w sprawie nader ważnej i nagłej.

— Poproś niech się chwilkę zatrzyma — rzekła Alina z sercem dziwnie ściśnionem.

Zarzuciła na siebie ranny szlafroczek, schowała pod siatkę włosy rozburzone i wyszła do przyległego salonu, aby przyjąć tajemniczą nieznajomę. Ta czekała stojąc blisko drzwi wchodowych, a skoro ujrzała Alinę, naprzód o jeden krok postąpiła i ze spokojem lodowatym przemówiła głosem bez dźwięku:

— Jestem Blanka d'Herblay.

Słowa te podziałały na Alinę jak uderzenie toporem w głowę.

Dwie kobiety spojrzały na siebie przez całą długość salonu. Alina omdlewająca schwyciła kurczowo ręką drżącą poręcz fotelu, Blanka zaś, niewzruszona, skamieniała, stała na miejscu jakby wrosła w posadzkę. Taki wpływ wywiera zwykle boleść nad siły. Idzie się prosto przed siebie, niby rodzaj automatu, zdaje się, jakby wszystko za nas spełniała osoba inna; nawet głos własny, brzmi nam w uszach obco i dziko; stajemy się obojętni na wszystko, co nas pierwej poruszało. I ta też kobieta, tak nerwowa, tak słaba zazwyczaj, spełniała czyn zuchwałości niesłychanej z krwią najzimniejszą, o którą sama siebie nie byłaby nigdy posądziła i wchodziła do domu zkąd miano prawo kazać ją wyrzucić, lub przynajmniej odwrócić się od niej ze wstrętem, z powagą tak uroczystą, iż Alina osłupiała i oniemiała pod tym dziwnym wpływem.

Odczuwała instynktowo, że role zamieniane, że ta, która powinna korzyć się przed nią, niemal jej imponuje, i szukała rozwiązania zagadki na tej twarzy marmurowej, nieodgadnionej, uderzająco pięknej, choć bladej śmiertelnie, zmęczonej, z wyrazem tragicznym, i z tą dziwną na czole jasnością, którą wywołuje myśl wzniosła, postanowienie heroiczne. Zaledwie zdołała wydobyć głos z piersi ściśnionej i przemówiła po krótkiej chwili milczenia, które jednak wiekiem jej się wydało:

— Szukam w myśli powodu, który mógł panią do mnie sprowadzić i znaleźć go nie mogę.

— A ja dziwię się — Blanka zimno odrzuciła — iż nie zgadłaś pani od razu, że powodem jedynym, który mógł nas sprowadzić razem dobrowolnie, jest sprawa, tycząca się życia lub śmierci pana de Sénonnes.

To nazwisko w ustach rywalki, obudziło w Alinie uczucie dumy, na jaką tylko stać ją było; wyciągnęła rękę, robiąc ruch, na którym umiała się poznać pani d'Herblay.

— Oh! możesz mnię pani znieważyć, jak ci się podoba, masz prawo do tego.. jestem na wszystko zrezygnowana — podniosła na Alinę źrenice zamglone, z powiekami ciężkiemi, zapuchniętemi, źrenice, w których zagasł ogień i blask dawny na zawsze. — Boże mój! czyż mnię to obchodzi!... byleś tylko poszła ze mną.

— Pójść z panią? — krzyknęła Alina drżąc na całem ciele.

Blanka jednak mówiła dalej nieulękniona.

— Wspomniałam pani przecie, że idzie tu o życie lub śmierć... Pójdziesz ze mną, aby nie skonał, nie zobaczywszy ciebie, a jeżeli mu Bóg żyć pozwoli, aby żył odtąd z tobą, którą kocha. Możesz pani temu wierzyć, skoro ja ci to przyszłam powiedzieć.

— Coś pani wymówiła? — zawołała Alina, rzucając się ku niej popchnięta uczuciem, silniejszem od jej woli. — O czyjej śmierci wspominasz? Gaston więc umarł... czy też umiera?.. Dokończ przez miłosierdzie Boże!

— Oh! — szepnęła pani d'Herblay z drżeniem nerwowem, tonem boleści z radością pomięszanej — i ona go kocha! — głośniej zaś dodała ku drzwiom zwrócona: — Chodźże pani, czas nagli.

— Nie, póki mi nie wytłumaczysz.

— Czego? Że książe Druckoj przebił go szpadą, że postanowił zginąć dla ciebie pani? Czy o tem chciałaś się dowiedzieć?... I cóż, pójdziesz teraz ze mną?

I podczas gdy Alina upadła na fotel na pół om-

dała, blada jak chusta, bojąc się zrozumieć, nie chcąc uwierzyć, a jednak spiorunowana tą brutalną odpowiedzią, pani d'Herblay ruchem automatycznym sięgnęła w zanadrze.

— Chcesz pani dowodów? Oto je masz — podała Alinie zwitek pomiętych papierów — znalazłam te listy wcześniej, niż miały być doręczone podług adresu. Niepokój, przeczucie bolesne, spowodowały mnię wejść do jego pokoju, właśnie podczas pojedynku. Oh! gdybym mogła była, rzucić się pomiędzy nich, przeszkodzić!... ale czytałam jeszcze, gdy już wracał, a właściwie gdy go przyniesiono...

— List do mnie został rozpieczętowanym? — szepnęła Alina, odtrąciwszy to, co było dla pani d'Herblay i matki Gastona przeznaczone, i czytając i odczytując bez końca pożegnanie błagalne, do niej wystosowane, a którego dotąd zrozumieć nie mogła.

— Tak! — odpowiedziała Blanka ze spokojem lodowatym istoty, będącej pod wpływem pewnej fiksacji, która gotowa na hańbę najwyższą, byle nic jej w drodze nie stanęło, byle dojść do celu zamierzonego — list ja otworzyłam. Wiem, co w nim napisał; widzisz pani, iż nie mogłam zrobić nic innego, tylko przyjść, błagać cię o litość nad nim. Przysięgam ci pani, że potrafię zniknąć na zawsze, ja, która mu tylko ból sprawiałam, której obecność znosił od dawna z niecierpliwością i przymusem, która nie mogła mu przynieść ani ulgi, ani pociechy, tylko wzniecała w nim żal i wyrzuty sumienia. Czym dosyć powiedziała? — załamała ręce kurczowo nieszczęśliwa kobieta — a może chcesz mnię pani widzieć korzącą się w prochu u nóg twoich?

I z głuchem łkaniem upadła na kolana, uderzając czołem o posadzkę.

— Na Boga! Co pani robisz? — podniosła ją z ziemi Alina od zmysłów niemal odchodząc.

Spostrzegła szal jakiś, od wczoraj na kanapie porzucony. Owinęła nim na prędce głowę i ramiona, nie namyślając się ani chwili, co kto może o tem powiedzieć, skinęła na Blankę i wyszła z nią razem. Na kurytarzu zetknęła się z miss Ruth. Ta przyzwoitość wcielona, przestrzegająca przedewszystkiem i w każdym razie ścisłego *decorum*, struchlała na widok Aliny.

— Przez miłosierdzie Boże! Alino! gdzież idziesz prawie r o z e b r a n a i o takiej godzinie?

— Umiera... nie żyje już może, i ja tego przyczyną! — rzuciła jej Alina mimochodem, głosem bez dźwięku, poczem zbiegła pędem po wschodach, jakby jej u ramion skrzydła wystrzeliły i zniosły ją na dół. Ręka jej ściskała dłoń pani d'Herblay, a żadna z tych dwóch kobiet nie wiedziała nawet o tym uścisku braterskim, którym łączyły się w wspólnej niedoli.

XX.

Skoro Gaston otworzył oczy na chwilę w swoim własnym pokoju i spostrzegł pochylonych nad sobą Henriona i chirurga, i przekonał się, że nie zginął, porwał się na łóżku i zdarł z wściekłością opaskę. Następnie gorączka go opanowała i znowu stracił przytomność.

W majaczeniu gorączkowem widywał często przesuwającą się koło łóżka i nad nim nachyloną postać tej, która była ostatnią myślą jego. Jakiż anioł przywdziewał tę postać uroczą, aby budzić w nim szczęścia ułudę? Nie uciekała teraz przed nim, nie mdlała patrząc na niego... Nie była to ona niestety!... było to jakieś widmo nieuchwytne, zmieniające kształty co chwila. Zdawało mu się jednak, iż głos jej poznaje, chociaż słów nie mógł zrozumieć, a i ten głos, który chwytał słuch wytężając, bywał przygłuszony dźwiękiem bijącego zegara lub szumem monotonnym samowara kipiącego. Raz pojął przecie tyle, iż się pyta lekarza: „Ręczysz mi więc pan, że żyć będzie?“ A jak głos jej drżał trwogą gdy te słowa wymawiała! Ale to wszystko śniło mu się tylko, bo teraz nic już nie słyszał oprócz brzęku wielkiej muchy, ukrytej przez pół za łóżka kotarą. Ta mucha tak brzęczała: „Zaręczyć jeszcze nie mogę, ale miejmy nadzieję!“ I znowu mu się zdawało, że pomiędzy skrzydłami muchy wyrasta nagle gruba postać lekarza, który pierwszy ranę jego opatrywał... Wszak to dłoń miękka kobiety, dotyka się jego ręki?... ta woń lekka, roskoszna, jaśminu, on ją zna... włosy Aliny były tą wonią przesiąknięte, gdy ją widział... gdzie?... kiedy?... Ale co jemu się marzy?! Ot! znowu stoi przed nim książe Druckoj uśmiechający się sarkastycznie, i słyszy jak woła niecierpliwie:

— Cóż u djabła! broń że się pan przecie! — Czy nie mówił on także:

— Na honor! ani jednem słowem mnie nie zachęciła, nie ośmieliła!.... — te słowa brzmiały ciągle w sercu Gastona, sprawiając mu roskosz niewysłowioną!... cóż kiedy czuł jednocześnie, zimo śmiertelne od ostrza szpady księcia, która pierś mu na wskroś przebijała... i znowu szeptał jakiś głos tajemny... byłby przysiągł, że należał do Aliny! — Nigdy! nigdy! o księcia nie dbałam! Kochałam i kocham tylko jednego!“ — i nie czuł w tej chwili nawet rany bolącej! Co się znaczy, że drzwi to zamykają, to otwierają? a te kroki przyciszone?... te szepty w koło niego? Zjawisko czarowne, które radby był przykuć do siebie, to mu się pokazywało, to znowu znikało, zasłonięte innemi postaciami wstrętnemi, potwornemi, które wreszcie zostawiały go samego, pogrążonego w zupełnej ciemności. Czy to już ciemność grobu, czy wszystko skończone?... I uczuwał błogość niewysłowioną, myśląc, iż spoczywa wreszcie snem wiecznym. Tak halucynacja i rzeczywistość potrącały się wzajemnie, wirując bezładnie po głowie gorączką zajętej.

Czy i to mu się śniło, gdy uczuł pewnej nocy, na dłoni rozpalonej ust dwoje i łzy kropla po kropli spadające? — Któż po mnie płacze? — wyszeptał. Mówił głosem bardzo słabym, a jednak dźwięk był inny niż dotąd, zwiastujący zmianę na lepsze. Aż do tej chwili bredził w gorączce jak warjat w furji, lub wydawał z piersi jęki żałośne. Po raz pierwszy, od kiedy go

na łóżku złożono, w oczach otwartych szeroko, przebijał wyraz rozumniejszy, chociaż wzrok był jeszcze cierpieniem zamglony. Pamięć wracała, rozpoznawał różne przedmioty blaskiem lampki nocnej oświetlone, spostrzegł wreszcie głowę kobiety z włosami o złotym połysku, która klęczała obok łóżka, twarz kryjąc w poduszki.

— Alino! — jęknął cichutko. Próbował się podnieść, lecz ból przenikający w lewym boku, zmusił go upaść napowrót i pozostać nieruchomym.

Porwała się szybko z klęczek, otoczyła go ramionami, czuł jej łzy i teraz, ale na twarzy swojej, na włosach. Nie śmiał się ruszyć, nie śmiał przemówić, aby nie spłoszyć zjawiska cudownego, aby nie zniknęło i nie rozwiało się w powietrzu.

— Tyżeś to? ty sama?! -- powtarzał jeszcze nie wierząc, aby coś podobnego stać się mogło. — O Boże! jeżeli śnię tylko, pozwól abym się ze snu tego nigdy nie przebudził!

— Nie śnisz — przemowiła głosem słodkim, cichym, stłumionym wzruszeniem namiętnem — wracasz tylko do życia, które o włos żeś nie postradał!

— Będę żył, ale nie będę ciebie widział! — krzyknął z boleścią.

Nagle jasno mu się w głowie zrobiło, aż nadto jasno! Wszystko sobie przypomniał.

— Przyszłaś, bo byłem umierający, ale nie zostaniesz, zostać nie możesz! Po cóż było mię ratować, po co?!...

I zaszlochał jak dziecię małe, czując się równie słabym, równie niedołężnym!

— Cicho, cicho! — Alina palec na ustach położyła, przybierając nawzajem ton czuły i nakazujący matki najtroskliwszej, aby go uspokoić. — Jestem przy tobie... na zawsze!

Na zawsze!... Ukołysany tem słowem niebiańskiem, z głową opartą na miękkiem łonie, które mu za poduszkę służyło, zasnął twardo, spokojnie, snem istotnie pokrzepiającym.

Przebudził się rano dopiero na głos lekarza, zapowiadający wesoło:

— Przy takich staraniach, takiej ostrożności, wyzdrowieje prędko, bardzo prędko, byle chciał nam cokolwiek i sam dopomódz! Teraz idzie tylko o to, aby nabrał ochoty do życia.

Wyzdrowieje przez nią! Nie opuści go! Myśl ta upajała go błogością nadziemską i całą istność jego przenikała. Alina siedziała tam przy łóżku żyjąca i uśmiechnięta, w dzień biały... nie było to nocnem złudzeniem. Gaston szukał jednak wzrokiem chmurnym i niespokojnym, czy nie zjawi się kto inny, będący dla niego już teraz postrachem, i czy nie zniszczy szczęścia tak świeżego, w które zaledwo może uwierzyć. Alina wzrok ten zrozumiała.

— Nie lękaj się — słodko się uśmiechnęła — nikt odtąd nie wejdzie pomiędzy nas. Ta, o której myślisz, poleciła mi, abym ci powiedzieć, że będzie modliła się o szczęście dla ciebie do końca dni swoich, tak gorąco, jak dotąd o życie dla ciebie błagała. Życzy ci szczęścia z całej duszy. Ona mnie tu sprowadziła... Oh! byłabym i sama przebiegła na każde twoje skinienie! — poprawiła się przerażona wyrazem bolu, który odbił się w zbladłych rysach chorego.

— Aby spełnić to, co w twojej dobroci anielskiej powinnością nazywałaś! — wtrącił Gaston z goryczą.

— Nie! nie! — znowu opasała go pieszczotliwie ramionami, odwracając główkę, aby nie spostrzegł rumieńca, którym twarz jej spłonęła. Nie chciała dać się wyprzedzić rywalce w dzielności, w szlachetności, tem bardziej, iż była przekonaną, o ile to wyznanie przyspieszy wyzdrowienie. — Przyszłam, bo kocham ciebie... — mówiła cichutko — od dawna... — dodała jeszcze ciszej — od... kiedym cię poznała... mimo wszystkiego... Czy zganisz mnie za to? Czy jeszcze wierzyć nie zechcesz?...

Milczeniem tylko można wyrazić stan duszy w chwilach radości nadziemskiej, gdy wszystko spełnia się, czegośmy pragnęli, gdy w skupieniu, z trwogą niemal, patrzymy na szczęście tak wielkie, iż go pojąć z razu nie możemy. Cisza też uroczysta panowała w pokoju Gastona, którą przerwała dopiero pani de Vesore, wpadając ze zwykłą żywością. Zaledwie zdołano zatrzymać aż dotąd gorliwość zbyt hałaśliwą i niedyskretną hrabiny Olgi, która nie wychodziła prawie z pokoju przyległego, zamęczała lekarza pytaniami, nie wiedzącego częstokroć co jej odpowiadać, obrzucała siebie samą *in petto* srogiemi wymówkami, jeżeli nie potrzebowała zasłaniać się i bronić przed wyrzutami Alberyka, który przybył na pierwsze wezwanie i robił ją odpowiedzialną za wszystkie wypadki, wywołane jej lekkomyślnością i nierozwagą. Wpadła tedy jak bomba, rzuciła się na szyję Gastonowi, śmiejąc się przez łzy rzęsiste, wyściskała Alinę i z wielkiem przezwyciężeniem zatrzymała języczek, który świerzbiał ją okrutnie, żeby się pochwalić swojem dziełem. Była bowiem najmocniej przekonana, iż jej winni swoje pogodzenie, iż ona wszystko ułożyła, wymyśliła i do najlepszego końca doprowadziła.

— Cóż z tego! — wynurzała się przed mężem. — Niewdzięczność, samolubstwo, jest tak powszechne nawet u ludzi najzacniejszych, iż wolą zawsze wszystko dobre sobie przypisywać niż komu drugiemu. Nie chcę psuć im ułudy, podnosząc moje zasługi!

— Bo i nie masz czem się chwalić! — odrzucił szorstko pan de Vesore — mało brakowało, a ułożona przez ciebie komedja, byłaby się w krwawy dramat przemieniła.

— Ba! — ręką machnęła. — Gracz dobry stawia wszystko na jedną kartę. Zresztą stare łacińskie przysłowie sprawdza się dotąd, iż: „Szczęście uśmiecha się

tylko śmiałym“ — Wymówiła te słowa z taką energją i naciskiem, iż można się było obawiać dalszej serji podobnych śmiałości na własny pożytek obróconych. Namyśliwszy się jednak, poprzestała na tym jedynym występie świetnym wprawdzie co do wyniku ostatecznego, który jednak mógł być tak drogo okupionym, iż sam ten tryumf był dla niej poniekąd nauką. Bądź jak bądź dokazała cudu, o którym wszyscy już byli zwątpili, przywiozła mamie de Sénonnes parę złączoną najczulszą miłością, i przemieniła wdówkę słomianą w najszczęśliwszą, najroskoszniejszą mężateczkę.

Jest to przywilejem poetów, iż mogą łatwiej niż ktokolwiek inny, odradzać się i przemieniać pod każdym nowym wpływem. Nie potrzebowała zatem Alina leczyć powoli i zabliźniać rany serca sponiewieranego, zwiędłego, zatrutego boleśnemi wspomnieniami. W atmosferze szczęścia, które odpowiadało jego najśmielszym marzeniom, Gaston odżył na nowo, stał się innym człowiekiem, a właściwie mówiąc stał się sobą samym. Nie tłumaczy już w stylu Obermanna zniechęceń rozpaczliwych Schopenhauera, został poetą młodym, roskosznym. Muza jego czerpie natchnienie u źródeł najżywszych, najpłodniejszych, jakiemi są: miłość i natura. Żona wciela się niemal w każdą pracę jego, znajduje w tem zlaniu, zestrzeleniu w myśl jedną serc dwojga podniętę i podporę, której mu dotąd brakowało, czuje się dopełnionym tem przywiązaniem namiętnem a tak jednak wyrozumiałem, czuje w sobie zdwojone zdolności i siłę twórczą, która dotąd rozwinąć się nie mogła. Tak długo wypadki, okoliczności, całe otoczenie przeszkadzało mu na każdym kroku w jego powołaniu! Teraz dopiero powołanie to rośnie z dniem każdym, wydając plon bujny, rozgrzane sympatją inteligentną, czułością żony najżywszą, która ducha jego oczyściła z niepotrzebnych naleciałości, zachęciła do pracy, wpoiła wiarę w samego siebie. Alinie zawdzięcza więc dobro najwyższe, bez którego wszystko w nas leży odłogiem, poczucie własnej wartości. Mimo wszelkich pozorów uwierzyła w niego, ta istota najszlachetniejsza, oddała mu miłość swoją z własnego popędu, nie spodziewając się nawet wzajemności, zaufała jego sercu, zaufała jego słowu gdy jej powiedział, że ją odtąd kochać będzie. Poeta-marzyciel stał się człowiekiem uczciwym, którego każdy dziś kocha i szanuje. Trzeba przyznać, że i dzieci na świat przychodzące, przyczyniły się wielce po ustalenia jego charakteru, odpowiedzialnością za ich przyszłe losy, które ojca w szczególności obarczają. Miss Ruth przyjęła ich troje w swoje troskliwe objęcia, i zarządza samowładnie w Nursery.

Ostatnie dziełko Gastona, najlepsze może, jakie napisał, nosi tytuł „Kolebka“. Nie opuszcza prawie zamku de Sénonnes, który po śmierci ojca dostał się jemu, chyba, że dla swoich prac literackich przyjedzie w zimie do Paryża na kilka tygodni. W stolicy rozczulają się nad miarę duszyczki poczciwe nad losem nieszczęsnym Aliny, kobiety tak pięknej, tak czarującej, a zmuszonej do wyrzeczenia się wszelkich roskoszy światowych, zamurowanej na wsi przez męża tyrana, który nie dosyć iż z razu był względem niej skandalicznie niewiernym, teraz prześladuje ją jeszcze zazdrością dziką à la Othello.

— Nie rozpadajcie się tak bardzo nad losem Aliny — pociesza w takim razie dusze litościwe pani de Vesore z minką filuterną. — Nagradza ona sobie straty poniesione, w sposób, którego nie jedna z nas mogłaby jej pozazdrościć.

Odwidzają również młodzi małżonkowie Bruyère każdego lata. Poczciwi tamtejsi mieszkańcy zobaczyli swoją panią ukochaną, opartą na ramieniu męża, promieniejącą szczęściem i radością. W Bruyère, na owej terasie, gdzie biedna, opuszczona, znosząc tak walecznie straszliwą samotność, szukała w pismach Marka Seweryna wątku myśli tajemnych hrabiego de Sénonnes, tam małżonkowie złączeni na zawsze węzły nierozerwalnemi, dłoń w dłoni, serce przy sercu, odczytywali po cichu kartki łzami zlane, spowiedź bolesną dziewicy a już wdowy, kartki świadczące wymownie jak wiele był Gaston stracił przez własną winę, jaki skarb odszukał dzięki dobroci i wierności tej istoty anielskiej.

Zresztą ani jednem słowem nie dotykają smutnej przeszłości. Pamięta o niej serce złamane biednej pani d'Herblay, pokutującej i modlącej się w ciszy klasztoru w okolicach Rzymu, o jakim marzyła dla niej w bujnej fantazji hrabina Olga. Być może, iż i książe Druckoj przypomina sobie chwile minione w głębi Rossji, skąd ruszyć się nie chce w owych czarnych godzinach, gdy przechodzi myślą nicość (jak się sam wyraża) życia zmarnowanego, chociaż tak pełnego awantur i zawikłań.

„Nudzę się tutaj śmiertelnie — pisał kiedyś do siostry, dla której mimo ciężkiej urazy, dotąd z serca niewyrugowanej, nie mógł się pozbyć dawnej niewzruszonej niczem przyjaźni — nie wyjeżdżam jednak nigdzie, wiedząc, iż wszędzie nudziłbym się tak samo, zmuszony bądź co bądź, żyć w towarzystwie z samym sobą. Od dawna byłem odludkiem, stroniącym od mężczyzn, dziś nie znoszę nawet kobiet widoku. Jest to postęp wielki w mądrości, nie ma mi jednak czego winszować.“

Z pewnością! bo jak dobrze hrabina Olga zauważyła, nienawiść do całego rodu kobiecego jest zwykle tylko stroną odwrotną miłości wielkiej, głębokiej, a rozjątrzonej i zgorzkniałej przez nieczułość i niewzajemność kobiety jedynej, którą się sercem wybrało!

K o n i e c.

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.